

Klasyka literatury



e-tekst.pl
twoja czytelnia

NAPÓJ HIPERBOREJÓW

Jack London

O tym, co się zdarzyło pewnemu przedstawicielowi białej rasy, wielkiemu cwaniakowi, pośród przedziwnego ludu, który żyje na brzegu Oceanu Lodowego Północnego.

Prawdomówność Tomasza Stevensa można by określić mianem niewiadomej x , a jego fantazję przyrównać do wyobraźni zwykłego zjadacza chleba podniesionej do n -tej potęgi, niemniej stwierdzić należy, że człowiek ten nigdy nie powiedział ani nie uczynił nic takiego, co by wolno było zakwalifikować jako pospolite kłamstwo... Mógł igrać z prawdopodobieństwem i pochylać się nad otchłanią niemożliwości, ale mechanizm jego opowiadań nigdy nie zgrzytał. Że znał Północ jak własną kieszeń, temu nikt, kto żyw, nie był zdolny zaprzeczyć. Że był wielkim podróżnikiem i stąpał po przeróżnych niezbadanych szlakach, to potwierdzają liczne dowody. Poza tym, co mi osobiście wiadomo, znałem ludzi, którzy spotykali go wszędzie, a najczęściej tam, gdzie świat się kończy. Na przykład Johnson, były agent Towarzystwa Zatoki Hudsona, swego czasu gościł go w faktorii na Labradorze — gdy psy nieco odsapnęły, Stevens ruszył dalej. Albo McMahon, agent Towarzystwa Handlowego Alaski, który spotkał go w Dutch Harbor, a potem na którejś z najodleglejszych wysp archipelagu aleuckiego. Jest faktem bezspornym, że Stevens był przewodnikiem jednej z pierwszych wypraw naukowych na Północ zorganizowanych przez Stany Zjednoczone, historia zaś stwierdza stanowczo, iż podobne usługi oddał towarzystwu „Western Union”, kiedy podjęto wysiłki zmierzające do przeprowadzenia linii telegraficznych przez Alaskę i Syberię do Europy. Wreszcie Joe Lamson, kapitan wielorybniczego statku, opowiada, że kiedy utknął w lodach nie opodal ujścia Mackenzie, Stevens przybył na pokład i poprosił o tytoń.

Ostatni fakt pozwala w sposób niezbity ustalić, że był to istotnie Tomasz Stevens w swej własnej osobie. Przez całe życie bowiem niezmordowanie uganiał się za tytoń. Jeszcześmy się mało znali, a już nauczyłem się wyciągać do niego jedną rękę na powitanie, a drugą podawać mu kapciuch. Ale owego wieczoru, gdy go spotkał w szynku Johna O'Briena w Dawson, głowę Stevensa spowijały kłęby dymu z cygara za pięćdziesiąt centów i tym razem mój kapciuch nie był mu potrzebny, natomiast poprosił o mieszek ze złotym piaskiem. Staliśmy przy stole, za którym goście grali w faraona. Stevens bez chwili namysłu rzucił mój mieszek na stół stawiając na wysoką kartę.

— Pięćdziesiąt — powiedział. Bankier kiwnął głową. Wysoka karta wygrała. Stevens zwrócił mi mieszek, upomniał się o żeton i pociągnął mnie do wagi, gdzie kasjer niedbale odważył mu złotego piasku za pięćdziesiąt dolarów.

— A teraz się napijemy — oznajmił.

W chwilę później stawiając szklankę na ladzie tak mówił:

— To mi przypomina bimberek, jaki się piło w Tattarat. Nie, nic pan nie wie o tej osadzie, nie ma jej na żadnej mapie. A jednak istnieje i leży na samym brzegu Oceanu Lodowego, głupie paręset mil od granicy Stanów. Żyje tam pół tysiąca zapomnianych przez Boga duszyczek, które się żenią i wychodzą za mąż, a w wolnych chwilach głodują i mrą. Badacze Północy jakoś ich przeoczyli, nie

znajdzie ich pan również w spisie ludności z 1890 roku. Kiedyś utkwiał tam w lodach statek wielorybniczy, ale ci, którzy po lodzie wydostali się na brzeg, ruszyli na południe i słuch po nich zaginął.

— A swoją drogą pyszna była ta woda, którą pędziłem razem z Moosu — dodał po chwili z ledwie dostrzegalnym westchnieniem.

Wiedziałem, że wielkie czyny i niesłychane przypadki kryją się za tym westchnieniem, pociągnąłem go więc do rogu między ruletką a stołem do pokera i czekałem, aż mu się język rozwiąże.

— Jedno miałbym do zarzucenia Moosu — zaczął przechylając głowę w zamyśleniu — to tylko i nic więcej. Był Indianinem gdzieś z dalekich kresów kraju Czippewajów, ale sęk w tym, że liźnął Pisma świętego. Spędził kiedyś cały sezon w jednym obozie z pewnym kanadyjskim Francuzem, renegatem, który przedtem kształcił się w seminarium duchownym. Moosu nigdy nie widział, jak wygląda religia chrześcijańska w praktyce, za to nabił sobie głowę cudami, bitwami, odpustami i innymi historiami, których ani w ząb nie rozumiał. Poza tym był to równy gość, sprytny do roboty na szlaku i przy ognisku.

Dostaliśmy obaj porządnie w skórę i ledwie zipiąc zwaliliśmy się z nóg w Tattarat. Podczas przeprawy przez przełęcz złapała nas jesienna zadymka śnieżna — straciliśmy cały ekwipunek i psy. Żołądki przylgnęły nam do krzyża i leciały z nas ostatnie strzępy odzieży, kiedyśmy wreszcie doczołgali się do wioski. Mieszkańcy Tattarat na nasz widok niezbyt się zdziwili, bo przed nami spotkali tamtych wielorybników. Dali nam najędźniejszą chatkę z całej wsi i żywili najgorszymi ochłapami. Dziwne wydało mi się, że nas odosobnili. Ale Moosu tak to wyjaśnił:

— Szaman *sick tumtum* — powiedział, co oznaczało, że szaman, czyli znachor, był zazdrosny i poradził ludkowi, aby trzymał się od nas z daleka. Na podstawie krótkiej znajomości z wielorybnikami doszedł bowiem do wniosku, że moja rasa jest silniejsza i mądrzejsza. Postąpił więc tak, jak zawsze postępowali wszyscy szamani na całym świecie. Zanim skończę, zobaczy pan, że miał świętą rację.

— Prawo tego ludu głosi: „Kto je mięso, musi polować” — objaśnił mi Moosu. — A ja i ty, o mój panie, nie mamy drygu do ich broni. Ani napiąć cięciwy, ani cisnąć włócznią jak należy nie potrafimy. Wobec tego szaman i Tummasook, który tu jest wodzem, poszeptali i został wydany rozkaz, że mamy wraz z kobietami i dziećmi taszczyć mięso do osady jako też usługiwać łowcom.

— A to bardzo niedobrze — odparłem — bo jesteśmy, mój Moosu, z lepszej gliny niż tutejszy lud, który błądzi w ciemnościach. Po wtóre, musimy wypocząć i nabrać sił, ponieważ droga na południe jest długa, a słaby nie ma czego szukać na szlaku.

— Ale my nie mamy nic — zaoponował rozglądając się po przegniłych bierwionach igloo i z obrzydzeniem kręcąc nosem na odór wiekowego morsa, którego zajadaliśmy na kolację. — Na takim wikcie nie wydobrejemy. Nie mamy nic prócz flachy „pocieszycielki zbolałych”, która pustego żołądka nie napełni, trzeba więc ugiąć karków pod jarzmem niewiernych, rąbać drwa i nosić wodę. A są tutaj różne dobre rzeczy, tylko nie dla nas. Ach, panie mój, nos nigdy mnie nie zmylił. Zawiódł on twego sługę do tajemnych spizarni i schowków wśród stert futer w paru igloo. Dobry prowiant zagarnął tutejszy ludek u biednych wielorybników, a cały ten łup powędrował do rąk kilku osób. Niewiasta Ipsukuk, która mieszka na krańcu wioski obok igloo wodza, ma znaczne zapasy mąki i cukru, a moje oczy powiedziały mi, że gębę miała umazaną w melasie. W igloo wodza Tummasooka jest herbata — czyżbym nie widział, jak żłopał ją ten stary wieprz? Szaman zaś ma puszkę herbaty „Z gwiazdą” i dwa kubły najprzedniejszego tytoniu. A co my mamy? Nic! Nic! Nic!

Gdym usłyszał o tytoniu, w głowie mi się zakręciło i nic nie odpowiedziałem. Moosu sam jednak

przerwał milczenie.

— I jest tu jeszcze Tukeliketa, córka wielkiego łowcy i bogacza. Niczego sobie dziewczyna. Owszem, ładniutka.

Wiele myślałem w nocy, podczas gdy Moosu chrapał, bom nie mógł przeżyć tego, że tytoń jest tak blisko, a ja nie mogę sobie zakurzyć. Moosu powiedział prawdę: nie mieliśmy nic. Wreszcie uprzytomniłem sobie, jak trzeba zadziałać, i rano mówię do Moosu:

— Pójdiesz, zakręcisz się po swojemu i znajdziesz mi kość zagiętą jak gęsia szyja i pustą w środku. Spaceruj sobie jakby nigdy nic, ale wypatruj, gdzie mają garnki, patelnie i inne kuchenne naczynia. I pamiętaj, że posiadam mądrość białego człowieka, rób więc, com ci nakazał, spraw się dobrze, a szybko.

Gdy poszedł, postawiłem lampę tranową na środku izby, a oblażłe futra, pod którymi sypialiśmy, odrzuciłem pod ścianę, żeby było więcej miejsca. Rozebrałem strzelbę Moosu i zatrzymałem przy sobie lufę, potem z dzikiej bawełny, jaką kobiety zbierają tu w lecie, skręciłem mnóstwo knotów. Moosu wrócił z zamówioną przeze mnie kością i nowiną, że w igloo Tummasooka jest pięciogalonowa blaszanka od nafty i duży kocioł miedziany. Pochwaliłem go za dobrą robotę i pozwoliłem mu zbijać baki do wieczora. A kiedy północ była blisko, wygłosiłem doń mowę.

— Wódz, który zwie się Tummasook, ma miedziany kocioł oraz blaszankę po nafcie. — W tym miejscu wręczyłem mu solidny kamień, pięknie wygładzony przez morskie fale. — Obóz uspiomy — mówiłem dalej — i tylko gwiazdki mrugają na niebie. Idź, bracie, wpętnij po cichutku do igloo wodza i walnij go w kałdun tym kamieniem, a dobrze! Niechaj mięso i obfite jadło, jakie spożywać będziesz w dni, które idą, doda sił twemu ramieniu. Zrobi się krzyk i gwałt, cała wieś stanie na nogach. Ale ty, bracie, się nie bój. Zrób się niewidoczny i rozplyń się wśród mroków nocy i ciszy ludzkiej. A kiedy niewiasta Ipsukuk nawinie ci się pod rękę, ta, która umazała gębę w melasie, rąbnij ją w to samo, co wodza, potem zaś wal każdego, kto ci się napatoczy, a posiada mąkę. Następnie sam wznies pod niebiosa krzyk bólu, skracaj się, załamuj ręce i lamentuj na znak, że i ciebie nawiedziły nocne zmory. W ten właśnie sposób zdobędziemy zaszczyty i wielkie bogactwa, i puszkę herbaty „Z gwiazdą”, i najprzedniejszy tytoń, i twoją Tukeliketę, która jest niebrzydka dziewczyna.

Moosu pobiegł wykonać swoje zadanie, a ja cierpliwie czekałem w chatynce. Tytoń był już bardzo blisko. Nagle rozległ się wśród nocy okrzyk przerażenia, po czym nieopisany hałas wzbił się pod niebo. Porwałem „pocieszycielkę zbolątych” i wybiegłem. Rwetes był wielki, kobiety zawodziły, całą wieś dusiła zhora strachu. Tummasook i kobieta Ipsukuk tarzali się z bólu po ziemi, w czym towarzyszyła im spora gromadka, między innymi Moosu. Odepchnąłem na bok tych, co mi się pętali między nogami, i przytknąłem szyjkę flaszki do ust Moosu. Natychmiast ozdrowiał i przestał wyć. Wszyscy inni zdjęci tą samą niemocą zaczęli głośno dopraszać się o butelkę. Wówczas palnąłem mównicę. Zanim skosztowali leku i wrócili do zdrowia, zasekwestrowałem Tummasookowi miedziany kocioł oraz blaszankę po nafcie, a kobiecie Ipsukuk cukier i melasę, innym zaś pacjentom okazałem porcję mąki. Szaman mierzył gniewnym spojrzeniem ludzi, którzy przypadli mi do kolan, ale sam z trudem ukrywał zdziwienie, jakie go nurtowało. Z wysoko wzniesionym czołem udałem się do chaty. Po piętach deptał mi Moosu stękając pod ciężarem łupu.

W chacie wziąłem się do roboty. W miedzianym kotle Tummasooka zmieszałem trzy litry pszennej mąki z pięcioma litrami melasy i dolałem do tego dwadzieścia litrów wody. Kocioł postawiłem przy lampie, żeby mieszanina sfermentowała i nabrała mocy. Moosu zrozumiał, co się święci, i oświadczył, że mądrość moja przechodzi wszelkie pojęcie i że jestem większy od Salomona, o którym słyszał jako o mędrca dawnych czasów. Blaszkę umieściłem nad lampą. Do jej otworu przymocowałem lejek, łączący blaszankę z kością kształtu gęziej szyi. Wysłałem Moosu, żeby

utłukł lodu. Gdy go nie było, połączyłem lufę jego strzelby z gęsią szyją. Na środek lufy nałożyłem potem tłuczonego lodu. U jej wylotu, obok patelni z lodem, podstawiłem mały żelazny garnek. Gdy zacier dostatecznie sfermentował (minęło dwa dni, zanim stanął na własnych nogach), przelałem go do blaszanki i zapaliłem knoty własnoręcznie skręcone.

Kiedy wszystko było gotowe, przemówiłem do Moosu.

— Pójdiesz — powiadam — do wioskowej starszyny, przekażesz ukłony ode mnie i zaprosisz, by przyszli tutaj i przespali noc ze mną i z bogami.

Gorzalka wesoło bulgotała, kiedy goście zaczęli odchyłać skórzaną zasłonę wiszącą w drzwiach i chyłkiem, jeden po drugim wchodzili do igloo. A ja nic, tylko obkładałem lufę tłuczonym lodem. Z jej wylotu — cyk, cyk, cyk — w żelazny garnek kapie trunek — uważasz pan, bimber. Ale oni nigdy czegoś podobnego nie widzieli, więc tylko niepewnie chichotali, kiedy opiewałem wielkie zalety tego napoju. W czasie przemówienia zauważyłem błyski zawiści w oczach szamana, wobec czego skończywszy posadziłem go obok Tummasooka i kobiety Ipsukuk. Potem dałem tej trójcy pić. Oczy zasłyły im łzami, w żołądkach zrobiło się gorąco. Przestali się bać i chciwie wyciągnęli szklaneczki, żeby dać im jeszcze. Gdym ich już dobrze zaprawił, wziąłem się do reszty. Tummasook zaczął się przechwalać, jak to swego czasu zabił białego niedźwiedzia i odgrywając tę scenę tak się rozochocił, że omal nie ubił własnego wuja. Ale nikt nie zwracał na to uwagi. Kobieta Ipsukuk rzewnymi łzami opłakiwała syna, który przed wielu laty zginął wśród lodów. Szaman podśpiewywał zaklęcia i wróżby. I tak przez całą noc, a nad ranem wszyscy leżeli pokotem i smacznie spali z bogami.

Ciąg dalszy nietrudno odgadnąć, prawda? Wieść o magicznym napoju szybko się rozeszła. Jest to — mówiono — specjał, który przechodzi wszelkie pojęcie. Mowa ludzka jest zbyt uboga, żeby opisać choćby dziesiątą część cudów, jakie napój ten sprawia. Uśmierza ból, odpędza troski, przywołuje dawne wspomnienia, twarze zmarłych, zapomniane sny. To ogień, który ogarnia płomieniem krew, a paląc się, przecież nie spala. Serce wypełnia odwaga, rozprostowuje plecy, mężczyzn czyni czymś więcej niż mężczyznami. Odślania przyszłość, wywołuje zjawy i prorocze widzenia. Tryska mądrością, zna każdą tajemnicę. Nie ma dla niego rzeczy niemożliwych.

Niebawem wszyscy wołali, że chcą spać z bogami. Znosili najcieplejsze futra, najlepsze kaski mięsa, przyprowadzali najmocniejsze psy. Ja jednak ostrożnie szafowałem bimbrem, sprzedając go łaskawie tylko tym, którzy przynosili mąkę, melasę i cukier. Zebraliśmy takie zapasy, że z trudem mieściły się w igloo, kazałem więc Moosu zbudować spiżarnię. Nie minęły trzy dni, a Tummasook zbankrutował. Szaman po pierwszej nocy zaczął pić z umiarem, bacznie mnie przy tym obserwował. Przez prawie cały tydzień siedział nam na karku. W ciągu dziesięciu dni nawet kobieta Ipsukuk wyczerpała swe zapasy i poszła do domu na niepewnych nogach.

Ale Moosu narzekał.

— Ach, panie mój — mówił — zgromadziliśmy przebogate zapasy mąki, melasy i cukru, lecz chałupina nasza marna, przyrodziewek chudy, a skóry, na których się śpi, wyliniałe. Brzuch mój woła o mięso, od którego nie biłaby pod niebiosa okropna woń, woła o herbatę, jaką siorbie Tummasook, wzdycha tęsknie do tytoniu Neewaka, który jest szamanem, i czyha na naszą zgubę. Mąki mam już po dziurki w nosie, opycham się cukrem i melasą, ile dusza zapragnie, ale serce Moosu boleje, a jego łoże jest puste.

— Zamilcz! — odrzekłem — słabą masz głowę i głupiec jesteś.

Siedź cicho i czekaj, a wszystko to wpadnie nam w ręce. Gdybyśmy chapnęli teraz, chapnęlibyśmy niedużo, a w końcu nic by nam nie zostało. Jesteś dziecko wobec mądrości białego człowieka. Trzymaj język za zębami i patrz, a ja ci pokażę, jak postępują moi bracia za morzami i jak zagarniają bogactwa świata. To się nazywa „biznes”. Co ty o tym wiesz?

Na drugi dzień Moosu przybiegł do chaty zdyszany.

— O panie! Dziwne rzeczy dzieją się w igloo Neewaka, szamana. Koniec z nami, nie będziemy mieli ciepłych futer, nie skosztujemy dobrego tytoniu, a wszystko przez to, żeś pan wariował za melasą i mąką. Leć pan zobaczyć, a ja tu przypilnuję samogonu.

Poszedłem więc do igloo Neewaka. Wyobraź pan sobie, szaman sprytnie podpatrzył mój alembik i zrobił taki sam. Gdy mnie zobaczył, nie mógł ukryć uczucia dumy. Był to bowiem gość z głową na karku, a w moim igloo spał z bogami zapewne nie tak twardo, jakby się zdawało.

Nic jednak sobie z tego nie robiłem, bom swoje wiedział. Wracam tedy do chaty i przemawiam Moosu do rozumu.

— Na szczęście lud ten uznaje prawo własności, choć na ogół w małym stopniu korzysta z dobrodziejstw instytucji cywilizowanego świata. Dzięki temuż poszanowaniu własności ty i ja porośniemy w tłuszcz, a ponadto wprowadzimy tu nowe porządki, których inne narody dopracowały się wśród krwawego trudu i wielkich cierpień.

Moosu niedużo zrozumiał. Oczy mu się otwały dopiero, gdy wpadł szaman i łypiąc okiem oświadczył z nutą pogroźki w głosie, że chce ze mną dobić targu.

— Słuchaj — wołał — w całej wiosce nie ma ani krzty mąki i melasy. Sprytnie obrałeś z nich mój lud, który spał z twoimi bogami, a teraz nie ma nic prócz napęczniałych głów, słabych kolan i pragnienia, którego nie może ugasić. Żle jest, a wiedz, że lud słucha mego głosu. Lepiej więc będzie, jeśli zaczniesz ze mną handlować tak samo jak wtedy, gdyś kupował melasę i mąkę.

A ja na to:

— Dobrąś mowę powiedział, mądrość zagościła w twych ustach. A więc handlujmy. Za tę ilość mąki i melasy dasz puszkę herbaty „Z gwiazdą” i dwa wiadra tytoniu.

Moosu jęknął, a kiedy transakcja została zawarta i szaman poszedł, zaczął mi robić gorzkie wymówki.

— Teraz — mówił — teraz wsiąkliśmy na amen, boś pan oszalał! Neewak sam będzie warzył *hooch* i przyjdzie chwila, że nakaże ludowi pić tylko jego *hooch*, żadnego innego. Wobec czego jesteśmy zrujnowani, nasz towar nic niewart, zostanie nam nędzne igloo, a łożo Moosu zimne będzie i puste! A ja na to:

— Klnę się na zewłok wilka, żeś cymbał i że ojcowie twoi byli, a potomkowie będą, aż do ostatniego pokolenia durniami. Mieć twój rozum, to już lepiej nie mieć żadnego, oczy twe ślepe są na byznes. Mówiłem ci, co to jest byznes, ale ty nic nie rozumiesz. Idźże, synu tysiąca durni, napij się samogonu, który Neewak pędzi w swym igloo, i bij pokłony twym bogom za to, że korzystasz z mądrości białego człowieka, dzięki której opływasz w dostatki. Jazda! A kiedy się napijesz; przynieś na wargach smak tego napitku, żebyś go mógł mi opisać.

Dwa dni potem Neewak przysłał nam ukłony i zaproszenie do swego igloo. Moosu poszedł, ja zostałem w domu. Słuchałem jak świergoce moja bimbrownia, powietrze było gęste od dymu szamańskiego tytoniu. Albowiem słaby był ruch w interesie owego wielczoru i właściwie zaszedł do mnie jeden tylko Angeit, wierny mi młody myśliwy. Po pewnym czasie wrócił Moosu. Dusił się ze śmiechu i wesoło mrużył oczy.

— Jesteś wielkim człowiekiem — powiedział — panie mój, wielkim człowiekiem i wspaniałomyślnym. Dlatego nie potępisz sługi twego, Moosu, który miewa chwile zwątpienia i pewnych rzeczy nie może ogarnąć rozumem.

— Cóż się stało? — zapytałem. — Czyś ty przypadkiem nie wypił za dużo? A tamci śpią jak zabici w igloo Neewaka, szamana, co?

— Nie, wściekają się i brzuchy ich bolą, a wódz Tummasook złapał Neewaka za gardło i

przysiągł na kości swych przodków, że nie chce go więcej widzieć na oczy. Słuchaj! Wchodzę do igloo, a tu gorzała bulgoce i bańki puszcza, para idzie przez gęsią szyjkę całkiem jak . u ciebie, panie mój, tak samo zamienia się w płyn po spotkaniu z lodem i na samym końcu kapie do garneczka. Więc Neewak częstuje napitkiem... Boże ty mój, trunek zupełnie niepodobny do twego, bo ani w język nie szczypie, ani w oku łza się nie kręci. Co tu ukrywać — woda. Pijemy, pijemy na umór i wciąż siedzimy, a w sercach chłód i wielka powaga. Neewak się zmieszał, czoło mu się chmurzy. Wybiera z całego towarzystwa tylko Tummasooka i Ipsukuk, sadza ich osobno, prosi, żeby pili, pili, pili. Piją oni, piją, piją i siedzą sztywni a chłodni, aż Tummasook zrywa się w gniewie okrutnym i żąda zwrotu futer i herbaty. Ipsukuk podnosi głos, piskliwy i zły. Całe towarzystwo woła, żeby szaman oddał, co od nich dostał, harmider wielki się robi...

— Czy ten pieski syn myśli, że jestem wieloryb? — słyszymy nagle głos Tummasooka.

Wódz odsuwa skórę wiszącą w drzwiach i staje wyprostowany w naszym igloo z twarzą pociemniałą z gniewu i chmurnym czołem.

— Napęczniałem — powiada — jak rybi pęcherz, zaraz pęknę, ledwie się mogę ruszyć, taki ciężar dźwigam. La-la! W życiu tak nie piłem, a jednak w oczach mi jasno, kolana mocne, ręka nie drży.

Jeden po drugim wchodzili ludzie do naszego igloo.

— Szaman nie umie sprawić, byśmy spali z bogami — skarżyli się — to się udaje tylko w twojej chacie.

Śmiałem się w duchu, gdym na prawo i lewo rozdawał bimber, a goście się weselili. A do mąki, którą sprzedałem był Neewakowi, tom domieszał hojną ręką sody zakupionej u kobiety Ipsukuk. No to, jak mógł jego zacier sfermentować, jeśli soda mu nie pozwalała? Jakim, pytam się, cudem jego bimber mógł się zbimbrzyć, skoro nie chciał skwaśnieć?

Od tej pory bogactwo napływało do naszej chaty nieprzebranym strumieniem. Futer mieliśmy bez liku, a także kobiecych robótek, posiadliśmy też wszystką herbatę wodza, a mięso znosili nam bez końca. Pewnego razu Moosu opowiedział mi historię Józefa w Egipcie, zresztą okrutnie zniekształconą, ale to mnie natchnęło pewną myślą i niebawem połowa plemienia pracowała przy budowie wielkich moich spizarni mięsa. Z tego, co upolowali, dostawałem lwią część i wszystko magazynowałem. Moosu też nie próżnował. Z kory brzozonej zrobił talię kart i nauczył Neewaka grać w „siódemkę”. W grę wciągnął również ojca Tukelikety. Wkrótce poślubił dziewczynę, a na drugi dzień wprowadził się do chaty szamana, najpiękniejszej w całej wiosce. Neewak zszedł na psy, przerznął bowiem w „siódemkę” wszystko, co miał, razem z bębenkami ze skóry morsa i przyborami czarownika — wszystko. W końcu przyszło mu na to, że rąbał drwa, nosił wodę i był gotów do posług na każde skinienie Moosu. Ten zaś — tak, Moosu sam się ogłosił szamanem, czyli arcykapłanem, a z pokiełbaszonego przez się Pisma świętego Stworzył nowych bogów i przed osobliwymi ołtarzami odprawiał gusła.

Byłem z tego zadowolony, bom uważał, że kościół i państwo powinny iść ręka w rękę, a poza tym miałem jeszcze swoje, państwowe plany. Wydarzenia rozwijały się tak, jak to przewidziałem. Pogodny nastrój i uśmiechnięte lica zniknęły z osady. Ludzie zrobili się posepni i chmurni. Raz po raz wybuchały kłótnie i bójki, dniem i nocą nie ustawał zgiełk i rwetes. Idąc za wzorem Moosu inni też zrobili karty. Myśliwi rżnęli w karcięta między sobą. Tummasook prał okropnie małżonkę, aż jego wuj stanął w obronie kobiety i kłębem morsa rąbnął go tak, że wódz w nocy wył z bólu i pohańbił się w oczach narodu. Wśród tego rodzaju rozrywek poniechano łowów i wkrótce kraj nawiedziła klęska głodu. Noce były długie i ciemne, a w braku mięsa nie było za co kupić bimbru. Szemrano więc przeciw wodzowi. O to mi właśnie szło. Gdy już głód dobrze im się dał we znaki, zwołałem całą

wieś, wygłosiłem wielką mowę, przybrałem pozę patriarchy i nakarmiłem głodnych. Moosu też palnął mówkę, dzięki której, jak również w uznaniu mych zasług, wybrano mnie wodzem. Moosu, który rozmawiał z Bogiem i obwieszczał jego zrządzenia, namaścił mnie tranem. Okropnie mi gębę wysmarował, bo nie rozumiał, na czym polega obrządek pomazania. We dwójkę wykładaliśmy ludowi nową teorię boskiego pochodzenia królewskiej władzy. A że bimbru było w bród, mięsa nie brakowało i wyprawiliśmy festyn, nowy ład spotkał się z ogólnym uznaniem.

Widzisz więc, szanowny panie, że siedział na wyżynach, odziewałem się i obtańcowałem faceta. Ale odwołał się do narodu i przez królem, gdyby mi starczyło tytoniu i gdyby Moosu okazał się większym głupcem, a mniejszym łajdakiem. Bo, widzisz, wpadła mu w oko Esanetuk, najstarsza córka Tummasooka. A ja zaprotestowałem.

— O bracie mój — klarował mi Moosu — byłeś łaskaw powiedzieć, że będą tu wprowadzone nowe porządki. Słuchałem słów twoich i czerpałem z nich mądrość. Ty rządzisz z woli boskiej, a ja z woli boskiej się ożenię.

Nie uszło mej uwagi, że mówi do mnie przez „bracie”, rozgniewałem się w purpurę i panowałem nad ludem. I do dziś dnia byłbym trzy dni odprawiał gusła, w czym cała wieś brała udział. W końcu głos boży przemówił przez niego oznajmiając, że ma być wprowadzone wielożeństwo, albowiem taka jest wola boska. Ale chytra to była sztuka, gdyż ilość żon uzależnił od cenzusu majątkowego i w ten sposób dzięki swemu bogactwu wyniósł się ponad innych. Trudno go było nie podziwiać, chociaż władza wyraźnie przewróciła mu w głowie i wiadomo było, że nie spocznie, póki cała władza i wszystkie bogactwa nie znajdą się w jego łapach. Rozpierała go pycha, zapomniał, że mnie zawdzięcza swe stanowisko, i począł czyhać na moją zgubę.

Ale było to interesujące, bo ten łapserdak po swojemu przekształcał pierwotne społeczeństwo. Mając monopol samogonowy ciągnąłem z niego zyski, przestałem jednak dzielić się nimi z Moosu. Pomyślał trochę i wprowadził system podatków kościelnych. Nałożył na mnie szkańców wsi dziesięcinę. Grzmiał przy tym o pierwotnych tłustych barankach i tak dalej, nicując na swój użytek zasłyszane i raz już przekręcone przypowieści biblijne. Nawet to zniósłem w milczeniu. Kiedy wszakże wprowadził coś na kształt progresywnego podatku dochodowego, zbuntowałem się. Głupstwo zrobiłem, bo jemu właśnie o to chodziło. Odwołał się w tej sprawie do ludu, który go poparł, bo lud zazdrościł mi bogactw i sam płacił wysokie podatki.

— Dlaczego my mamy płacić — pytali — a ty nie? Czyż przez usta Moosu, szamana, nie mówi głos Boga?

Ustałem. Ale zaraz podniosłem cenę bimbru. Mój Boże! Moosu, jakby na to czekał, natychmiast przykręcił śrubę podatkową.

Tak się zaczęła otwarta wojna. Postawiłem na Neewaka i Tummasooka stając w obronie ich praw uświęconych tradycją. Moosu wygrał, bo powołał do życia stan duchowny i obydwu nadał wysokie godności. Stał przed nim problem władzy, rozwiązywał go podobnie, jak przed nim wielu innych. To był mój błąd. Sam powinienem był zostać szamanem, a on wodzem, lecz za późno to rozumiałem, tak więc w starciu między władzą duchowną i doczesną skazany byłem na klęskę. Rozgorzał wielki spór, ale szala zwycięstwa szybko się przechyliła na stronę Moosu. Ludzie pamiętali, że to on mnie namaścił i jasne było dla nich, iż źródłem władzy nie jestem ja, tylko on. Zostałem sam z garstką zwolenników, z których najbardziej był mi oddany Angeit. Moosu stanął na czele partii ludowej i rozpuszczał pogłoski, jakobym zamierzał obalić go i ustanowić własnych bogów, najbardziej bezecnych pod słońcem. Szczwany drań znów mnie ubiegł, bo rzeczywiście tak chciałem zrobić: abdykować — rozumie pan? — i orężem wiary walczyć z jego religią. Nastraszył lud opowieściami o niegodziwych postępkach moich bogów, a zwłaszcza jednego, który się nazywa

Byznes (wymawiał Bzz Nzzz) — i stłumił mój plan w zarodku.

Zdarzyło się, że Kluktu, najmłodsza córka Tummasooka, przypadła mi do gustu, i to nie bez wzajemności. Rozpocząłem starania, lecz eks-wódz odpalił mnie — gdy już zapłacił cenę kupna — oświadczając, że Moosu zastrzegł sobie tę dziewczynę. Tego już było za wiele! Miałem ogromną ochotę pójść do jego igloo i zaciukać dziada gołymi rękami. Przypomniałem sobie jednak, że tytoń już się kończy i z uśmiechem na ustach wróciłem do domu. Na drugi dzień Moosu odprawił zaklęcia i przefasonował cud z chlebem i rybami na wróżbę. Czytając między wierszami rozumiałem, że arcykapłan pije do moich spiżarni, zawalonych mięsem. Lud także nie był w ciemną bity. Sza man wcale ich nie nakłaniał, by poszli na łowy, większość więc pozostała w chatach i upolowano tylko parę karibu i niedźwiedzi. Ale ja miałem co innego na oku, bom widział, że nie tylko tytoń, lecz i zapas mąki i melasy jest na ukończeniu. A poza tym uważałem za swój obowiązek pokazać, jaki mądry jest biały człowiek i zalać sadła za skórę Moosu, któremu, przewróciło się we łbie, gdy dzięki mnie zdobył władzę. Tej samej nocy poszedłem do swoich spiżarni. Ciężko tam pracowałem. Nazajutrz rzucało się w oczy, że wszystkie psy stały się dziwnie leniwe. Nikt niczego nie podejrzewał, ja noc w noc ciężko pracowałem, psy były coraz tłustsze, a ludzie chudli i chudli. Zaczęli szemrać i domagać się spełnienia proroctwa, lecz Moosu ich hamował czekając, aż głód jeszcze bardziej im dokuczy. Do ostatniej chwili nawet się gałganowi nie śniło, jaką sztukę mu wytnę, i nie przyszło mu do głowy, że spiżarnie są puste.

Gdy wszystko było gotowe, posłałem Angeita wraz z wierną mi gromadką (karmiłem ich potajemnie), żeby obeszli wioskę i zwołali wiec. Całe plemię zebrało się na udeptanym śniegu przed moją chatą. Z tyłu wznosiły się na palach, jak na szczudłach, spiżarnie. Przyszedł i Moosu. Tłum zatoczył koło. W pierwszym szeregu stanął Moosu, prosto naprzeciw mnie, pewny, że coś tu knuję, gotów pierwszą zaczepkę odeprzeć druzgocącym ciosem. A ja wstałem i przy wszystkich mu się pokłoniłem.

— O Moosu, ty błogosławiony przez Boga! — tak zacząłem. — Dziwisz się pewnie, że zwołałem to zgromadzenie i niewątpliwie po tylu głupstwach, jakich narobiłem, oczekujesz niebaczących słów i postępów. O, nie! Powiedzione jest, że jak bogowie chcą kogoś ukarać, to mu najpierw rozum odbierają. A jam był naprawdę pozbawion rozum. Sprzeciwiałem się twej woli, kpiłem z twojej władzy, dopuściłem się wieki bezecnych i swawolnych postępów. Tej nocy jednak zesłane mi było widzenie i ujrzałem, że zbłądziłem. A tyś stanął przede mną jak gwiazda płomienna, i brwi ci gorzały, i pojąłem w sercu moim, żeś wielki. Wszystko stało mi się jasne. Zrozumiałem, że Bóg darzy cię swoim uchem i kiedy ty mówisz, on słucha. Przypomniałem sobie, że wszystko, com uczynił dobrego, uczyniłem za sprawą łaski boskiej i twojej.

— Tak, diatwo moja! — wołałem zwracając się do ludu. — Jeślim kiedy postąpił sprawiedliwie, jeślim zrobił co dobrego, zawszem czynił za radą Moosu. Gdy go słuchałem, wszystko szło świetnie, gdym zatykał uszy i folgował swemu szaleństwu, same głupstwa z tego wychodziły. Za jego to radą zebrałem zapasy mięsiwa i w czarne dni karmiłem głodnych. Z jego łaski zostałem wodzem. A jak uży wałem swej władzy? Pozwólcie, że wam powiem. Nic nie zrobiłem. W głowie mi się przewróciło, ubrdałem sobie, że jestem większy niżli Moosu, i uważacie — tylko się biedy napytał. Rządziłem niemądrze, bogowie się na mnie pogniewali. O Boże, Boże! Głód trzewia wam ściska, matkom w piersiach wyszło, zgłodniałe dzieciątka kwilą po nocach. A ja, którym w sercu chował zatwardziałą nienawiść do Moosu, nie wiem, co mam począć i skąd tu wziąć żarcia.

W tym miejscu tłum zaczął kiwać głowami. Uśmiechali się i coś sobie na ucho szeptali — wiedziałem, że o bochenkach chleba i rybach.

Szybko waliłem dalej.

— A więc zrozumiałem własną głupotę i mądrość Moosu, pojąłem, że jestem niedojda, a Moosu głowacz. Dlatego, gdy przeszło mi szaleństwo, przyznaję się do winy i chcę naprawić zło, którym wyrządził. Spozierałem bezecnym okiem na Kluktu i co się okazało? Została oddana Moosu. A przecież Kluktu jest moja, bo czy nie zapłaciłem za nią Tummasookowi towarem? Ale jam niewart Kluktu, niechaj więc przejdzie z ojcowskiego igloo do igloo Moosu. Czyż bowiem księżyc może świecić, gdy słońce błyszczy na niebie? Po drugie, Tummasook niech zachowa, co dostał ode mnie, a dziewczynę niechaj weźmie w darze Moosu, bo Bóg nakazał, aby został jej panem i władcą. Co więcej, ponieważ niemądrze używałem bogactwa i korzystałem zeń, aby was, moje dziatki, uciskać, oto składam w darze Moosu blaszankę po nafcie, jak również gęsią szyjkę, lufę oraz miedziany kocioł. Tym samym nie będę już mógł zgarniać wszystkiego pod siebie, a jeśli zachce się wam *hooch*, on ugasi wasze pragnienie, i to bez zdzierstwa. Boć wielki to człowiek i Bóg przemawia przez jego usta.

I jeszcze coś: serce mi zmiękło, żałuję swego szaleństwa. Ja, który jestem kpem i synem kpów, ja — sługa złego boga Bzz Nzzz, ja, który widzę wasze puste brzuchy i nie wiem, jak je zapełnić — czemu miałbym być wodzem, wynosić się nad was i przywieść naród do zguby? Po cóż miałbym robić to, co nie jest dobre? Natomiast Moosu, szaman, człek z wszystkich najmądrszy, stworzony jest do tego, by rządzić łagodną ręką i sprawiedliwie. Z powodów, które wam wyłuszczyłem, abdykuję więc i władzę swą przekazuję w ręce Moosu, on jeden bowiem będzie wiedział, jak was nakarmić w dniu, w którym zabraknie mięsa w kraju.

Gdym skończył, rozległy się huczne oklaski i lud wołał: *Klosz! Klosz!* co znaczy — dobrze.

W oczach Moosu dostrzegłem zdziwienie i niepokój. Nie mógł zrozumieć, o co mi chodzi, i bał się mej mądrości białego człowieka. Spełniłem wszystkie jego życzenia, niektóre zaś nawet uprzedziłem. Widząc, jak stoję tutaj, własnoręcznie wyzuty z władzy, zdawał sobie sprawę, że nie pora podburzać lud przeciw mojej osobie.

Nim się rozeszli, obwieściłem, że wraz z przejściem bimbrowni na własność Moosu, wszystek samogon, jaki mam, przekazuję w ręce ludu. Moosu usiłował protestować, bo dotąd pozwalaliśmy zalewać się małym gromadkom, lecz nigdy wszystkim naraz. Ale tłum krzyczał: *Klosz! Klosz!* i zaczęła się huczna zabawa przed moim igloo. A kiedy trunek począł im szumieć w głowach i na dworze bawiono się coraz hałaśliwiej, ja w domu naradzałem się z Angeitem i paru oddanymi mi ludźmi. Powiedziałem im, co mają robić, i dokładnie przyuczyłem, co mówić. Potem chyłkiem przemknąłem się do lasu, gdzie miałem dwoje sanek dobrze wyładowanych i dwa nie przekarmione psy zaprzęgi. Wiosna, uważasz pan, była za pasem, śnieg okryła skorupa lodu, słowem, w sam raz, żeby ruszyć w drogę na południe. Co więcej, tytoń się skończył. Spokojnie czekałem w lesie, gdyż nie miałem się czego obawiać. Gdyby chcieli mnie ścigać, psy mieli zapasione, a sami zbyt byli wygłodzeni, żeby mnie dognać. Poza tym wiedziałem, jaka niespodzianka ich czeka, bo sam ją starannie przygotowałem.

Najpierw przebiegł jeden mój zausznik, a za nim drugi.

— O panie! — zawołał pierwszy ciężko dysząc. — W wiosce zrobiła się straszna chryja, wszyscy potracili głowy i sami już nie wiedzą, czego chcą. Spili się, jedni napinają cięciwy, inni się kłóca. Jeszcze u nas nie było takiej awantury.

A drugi mój zausznik mówi:

— Zrobiłem, jakieś kazał, o panie. Szeptalem chytrze słowa w chętne uszy i budziłem wspomnienia dawnych czasów. Kobieta Ipsukuk płacze nad swoją biedą i bogactwem, które postradała. Tummasook znów się uważa za wodza. A ludzie są głodni i wszystko się w nich gotuje.

Trzeci powiedział:

— Neewak powywracał ołtarze Moosu i odprawia zaklęcia przed starymi bogami, których czciliśmy przez tyle lat. Ludzie wspominają bogactwa, co przeciekły im przez gardła i są bezpowrotnie stracone. A Esanetuk, która jest *sick tumtum*, pobiła się z Kluktu i narobiła szumu. Potem, jako córki jednej matki, wzięły się we dwójkę do Tukelikety. Na sam koniec w trójkę jak trzy huragany uderzyły na Moosu z wszystkich stron, aż uciekł z domu i wystawił się na pośmiewisko. Bo mężczyzna, który nie umie sobie dać rady ze swym babińcem, jest kpem.

Wówczas nadszedł Angeit.

— Straszne kłopoty spadły na Moosu, o panie, bo tak długo szeptałem ludziom na ucho, aż przyszli do niego i mówią, że głodni, i żądają spełnienia wróżby. Wielkim głosem wołają: *Itlwillie! Itlwillie!* (Mięso). Więc Moosu krzyczy swoim niewiastom, rozjuszonym z gniewu i pijaństwa, żeby zamknęły gęby, i prowadzi plemię do twoich spiżarni. Nakazuje mężczyznom otworzyć i najeść się do syta. A tu spiżarnie puste. Mięsa ani kawałka. Mężczyźni stoją niemi, lud zdjęło przerażenie. Pośród ciszy zabieram głos:

— O Moosu, gdzie mięso? O tym, że było, dobrze wiemy. Czyż nie przynosiliśmy go z łowów? Kłamstwem byłoby, gdybyś powiedział, że jeden człowiek sam wszystko zjadł. A przecież myśmy z tego mięsa nie widzieli nawet skóry i kości. Gdzie jest mięso, o Moosu? Bóg cię słyszy. Gdzie mięso?

Ludzie wołają: „Bóg cię słyszy. Gdzie mięso?” I szepczą między sobą zdjęci strachem. Wówczas wszedłem w tłum. Mówiłem o okropnych, tajemnych sprawach, o nieboszczykach, co przemykają się jak cienie i czynią zło, mówiłem tak długo, aż przerażeni zaczęli głośno krzyczeć i zbili się w gromadkę jak dzieci, które się boją ciemności. Neewak wygłosił mowę. Dowodził, że wszystkie nieszczęścia przyszły z chaty Moosu. Gdy skończył, szal ludzi ogarnął, chwyтали za włócznie, kły morsa, pałki i kamienie z morskiego brzegu. Moosu uciekł do chaty. Nie pił *hooch*. Dlatego nie mogli go złapać, przewracali się jeden na drugiego i dreptali w miejscu. Do tej chwili wyją przed jego igloo, babiniec hałasuje w środku, on też się drze, ale sam swego głosu nie słyszy.

— O Angeit, dobrześ się spisał — pochwaliłem. — A teraz weź te puste sanki i chude psy, goń do igloo Moosu. Nim się pijany lud połapie, co robisz, czym prędzej rzuć Moosu na sanki i przywieź go tu.

Czekając na powrót Angeita, dałem parę dobrych rad moim wiernym towarzyszom. Moosu przyjechał na sankach. Siniaki na jego twarzy świadczyły, że niewiasty dobrze się z nim porachowały. Wypadł z sanek w śnieg i leżąc u mych stóp płakał.

— O panie! — woła. — Przebaczysz słudze twemu Moosu jego nieczne postęпки! Tyś wielki człowiek! Na pewno przebaczysz!

— Mów mi „bracie”, Moosu, mów mi „bracie” — szydziłem. Końcem mokasyna podniosłem go na nogi. — Będziesz mnie słuchał?

— Tak, panie — skamlał — zawsze.

— No to kładź się przez sanki — przełożyłem bat do prawej dłoni. — Kładź się twarzą do śniegu. Tylko prędko, bo jeszcze dziś ruszamy na południe.

Kiedy się należycie ułożył, zacząłem okładać go batem, za każdym uderzeniem wyliczając winy, jakich się względem mnie dopuścił.

— To za nieposłuszeństwo w ogóle — chlast! A to za nieposłuszeństwo w szczególności — chlast! chlast! To za Esanetuk! To dla dobra twojej duszy! To za powagę twego urzędu! To za Kluktu! To za władzę od Boga! To za tłuste pierworodne baranki! A to i to za podatek dochodowy i bochny chleba tudzież ryby! A to za całokształt twego nieposłuszeństwa! A to na koniec, żebyś odtąd był strożniejszy i nabrał rozumu! A teraz przestań smarkać i wstań! Włóż rakiety śnieżne, idź naprzód i toruj drogę

psom. Uwaga! Naprzód! Marsz!

Tomasz Stevens uśmiechnął się pod wąsem, zapalił piąte cygaro i puścił serię kółek pod sufit.

— Ale co się stało z ludźmi w Tattarat? — zapytałem. — Czy to nie nazbyt okrutne skazać ich na śmierć głodową?

Roześmiał się i między jednym kółkiem a drugim powiedział:

— A czy nie mieli tłustych psów?

Przygotowano na podstawie bookini.pl